

Elżbieta Wojnarowska

TO
NIE JEST
RAJ
DLA DZIKICH
ZWIERZĄT



Elżbieta Wojnarowska

**To nie jest raj
dla dzikich zwierząt**



SERIA LITERACKA
ZE SROKĄ

Elżbieta Wojnarowska

To nie jest raj dla dzikich zwierząt

KSIEGARNIA AKADEMICKA

KRAKÓW 2021

© Copyright by Elżbieta Wojnarowska, 2021

Opracowanie redakcyjne
Patrycjusz Piławski

Projekt okładki
Igor Stanisławski

Na okładce wykorzystano fotografię autorstwa Jacka Wrzesińskiego

Projekt dofinansowany przez Fundację im. Tislowitzów

ISBN 978-83-8138-386-8 (druk)
ISBN 978-83-8138-450-6 (on-line, pdf)



WYDAWNICTWO KSIĘGARNIA AKADEMICKA

ul. św. Anny 6, 31-008 Kraków
tel.: 12 421-13-87; 12 431-27-43
publishing@akademicka.pl

Księgarnia internetowa: <https://akademicka.com.pl>

Prolog

– Stanowczo protestuję, jeśli w ogóle mnie słyszysz, Anastazjo. Nie chcę, żebyś uznała, o ile w ogóle myślisz cokolwiek, że po to tu jestem, żeby wyjaśnić ci, że to nie ja, nie przeze mnie – choć pewnie tak to wygląda – nie przeze mnie to się stało, że leżysz tu jak kłoda. Owszem, zamierzam się tłumaczyć – choć może to być beznadziejne, bo wszystko to jest wystarczająco pogmatwane. Twierdzą, że śmierć jest w każdym oddechu, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Ale nie chcę, nie mogę o śmierci, nie przy tobie, bo jest możliwe, że słyszysz. Powiedzieli, żeby mówić do ciebie, no to mówię, bo kiedy, jak nie teraz. Ta chuda pielęgniara, ta koścista wywłoka, co wpuścić mnie tu do ciebie nie chciała, tak się zołądkowała, że o mało nie dałem jej po gębie. Jezu Chryste... że ja to nie rodzina, więc wynocha stąd. Dopiero ten lekarz, w miarę sensowny, jak mu wykładowałem, co i jak, że nikt tu do ciebie nie zaglądnie, nawet pies z kulawą nogą – boś sama na świecie jak ten palec u psiej nogi – to powiedział: ktoś musi do niej mówić, a personel (tu spojrział na kościstą tak, aż ją zmroziło), nie ma czasu na każdego pacjenta. Więc jeśli panu zależy, panie Leonie, to niech pan tu siedzi i sobie gada, co pan tam chce. No i tak tu siedzę, nie znam się na tych wszystkich monitorach, widzę, owszem, jakieś linie, wykresy, powiedzieli – śpiączka, ale że podobno żyjesz, choć nie wiem sam... nie jestem przekonany... patrząc

na te rurki, na te wszystkie urządzenia, że dzięki nim wciąż jesteś, no bo niby gdzie, gdzie ty jesteś, Nastazio...

Deszcz ciął bezlitośnie kurzawę śniegu wyrzucaną kłębami przez dmuchawy. Robiło się coraz ciemniej i coraz zacieklej.

– Światło! Światło! – oświetleniowiec darł się jak oszalały, miotając się z bezgłośnym przekleństwem na ustach. Rzucił kablami, przerzucał z jednej strony na drugą, kopał w całe ich sterty leżące pod ścianą, jakby upatrywał w nich ostatniej deski ratunku.

Światło czerwieniało i zieleniało, plan filmowy przypominał teraz wielką galerię handlową kipiącą od bożonarodzeniowych neonów. Ludzie biegali w kółko, w chlupiącej po kostki wodzie, jakby usiłowali przebyć ją wplaw. Inni przytupywali nogami dla rozgrzewki, wpatrując się tępo w dwie postaci tego spektaklu, które nadal usiłowały grać. Ona oblizywała wciąż mokre wargi, ku rozpaczliwej charakterystyki, usiłującej co chwilę poprawić ten znikający w deszczu jak kamfora makijaż. I on, w kapeluszu, z którego zamiast fotogenicznego śniegu spływały wciąż smugi brudnej wody. Scena jak z *Casablanki*, tylko Bogart zbyt podmokły, strzepujący nerwowo deszcz z kapelusza, i Ingrid nerwowo ocierająca twarz, strząsająca wodę z płaszcza.

– Cięcie! – ryczy reżyser i wszyscy zamierają w bezruchu. Dopiero po chwili dociera do nich, że to nie koniec. Tylko przerwa. Odmierzana wściekłym sapaniem asystenta. – Zróbcie coś, do cholery, z tym deszczem!

Ale co? – myśli każdy. Teraz zamiast dramatu powstanie komediodramat. Bo ona miała wybierać między lotnikiem RAF-u a jego synem, też lotnikiem RAF-u – który, choć jeszcze w cywilu, wkrótce już rusza na wojnę – i miała zdecydować, z którym chce pozostać. I jak tu odegrać tak skomplikowane role, przytupując z zimna, bo niekończąca się ulewa jest jak

najbardziej prawdziwa, a miał być wprowadzie nieprawdziwy, bo jednak tylko z dmuchawy, ale śnieg?

Ten film będzie czarno-biały, jedynym kolorem jest tu czerwień jej sukienki wystającej spod burego, wojskowego płaszcza. Bo gdy wybiegła do tego młodszego lotnika z sylwestrowego balu, aby się z nim pożegnać, on narzucił na nią swój płaszcz, aby nie zmarzła. A teraz deszcz łomocze w stalowe dachy kontenerów i przyczep campingowych zaparkowanych wokół filmowego planu, a jej mokre wargi drżą, więc je oblizuje, doprowadzając tym reżysera do wściekłości. Rozpanoszyły się już wszechobecne parasole i peleryny przeciwdeszczowe, a wszyscy wciąż stoją jak przedtem, czekając na kolejne ujęcie. By powtórzyć scenę rozstania raz jeszcze i jeszcze, aż reżyser wydusi zrezygnowany, że na dziś koniec... A najgorsze w tym wszystkim, że to ja, ja, moknę na tym cholernym deszczu...

Moja czerwona, jedwabna sukienka...

I ta cała jaskrawość... Oślepienie światłem... Powinno boleć. Czemu nie boli?... Zamknąć powieki. Uciec. Biel, biel... Topiel ostrej bieli. Przerzynającej gałki oczne. Czy ja nie mam powiek? Spróbować odwrócić wzrok... powoli... powoli... Gdzie jestem? Czy jestem? Czy śpię? Czy ja się budzę?

Coś mija. Przelatuje obok. Jak chmura. Mgła bieli, opadająca wolno. Jakby słońce cierpliwie pokonywało mgłę. Coś widzę. Coś się wyłania nareszcie. Obraz, mglisty. Coraz wyraźniejszy. Ostra biel... Możliwe, że upał. Czemu nie jest mi gorąco? Gdzie mój pot?...

Coś widzę. To droga. Kamienista. Polna. Uskokiem między krzaczastymi zaroślami. W dół. W szerokie zakole wielkiej żółtej rzeki. Jakby świeżo po powodzi. Dokąd zmierzam? Czy tam właśnie? Dlaczego?

Idę... Z każdym krokiem trudniej, zapadając się wąskimi obcasami w zwirowatą ścieżkę. Muszę zdjąć buty. Czółenka.

Wieczorowe. Z węzowej skórki. Opięte na zmęczonych stopach. Jaka ulga... Tutaj, w takich butach? Skąd się tu wzięłam? Dlaczego niczego nie pamiętam?

Przy brzegu rzeki Łódź. Duża i stara. Brązowa. Z wielkim wiosłem. W łodzi stary, brązowy człowiek. W wielkim kapeluszu z wyszczerbionym rondem, nasuniętym na czoło. Patrzy w moją stronę. Czy na mnie? Twarzą zwrócony na południe. Prosto w słońce. Czeka na mnie? Czy to przewoźnik? Czeka cierpliwie. Nigdzie mu się nie spieszy. Na rzece nie ma mostu. Muszę tam dojść, jeżeli chcę na drugi brzeg. Chcę?

Co znaczy dla mnie tamten brzeg? Czy właśnie tam zmierzam? Ten człowiek jest pewnie o tym przekonany. Przecież jeśli ktoś przechodzi tędy, to po to, by przedostać się na drugi brzeg. Nie ma tu innej ścieżki, innej drogi. Więc każdy, czy tego chce czy nie, zmierza w stronę przewoźnika. To jakby przeznaczenie. Zawracać nie ma sensu. Bo dokąd zawrócić, i po co? Nie czuję upału ani zmęczenia. Nie bołą nogi, choć idę boso po ostrym żwirze. Jak mogą nie boleć obolałe nogi? Południe. Słońce za mną, z tyłu.

Deszcz leje nieprzerwanie. Mija kolejny dzień. Dzień zdjęciowy. Którego znowu nie ma z powodu nieustającego deszczu. Który to dzień z kolei? Rosną koszty. Wkrótce pochłoną cały budżet przeznaczony na produkcję. Woda stoi wszędzie. Snuje się wokół, rozpylona w powietrzu niczym gaz łzawiący, nie pozwala wyjść na zewnątrz. Koła samochodów ugrzęzły w błocie. To nawet nie ulewa, tylko nieustanny potok. Rwący i nieprzejednany. Nieprzejezdny.

Właśnie nadjechał tir, wyładowany częściami wielkiej wiaty. Powstanie hala produkcyjna. Żeby oszukać deszcz. Nie kręcić w plenerze. Reżyser w czarnym namiocie swojej peleryny miota się, dyrygując wielką orkiestrą budowlańców. Będzie kręcić pod dachem. To jedyne wyjście. Przeniosą tam kamery, reflektory, cały sprzęt. Na razie po jego pelerynie

wciąż spływa czarny deszcz. A z głośników ryczy czarny jazz. Dla otuchy i animuszu. Na kołku w przyczepie wisi moja sukienka. Czerwona. Jedwabna...

Przedemną tą łódź. Stara drewniana łajba. Dość stromy brzeg. Z niewygodnym zejściem. Czy to w tej rzece brodziłam kiedyś w wodzie po kolana, grzebiąc patykami w grząskim mule? Mała dziewczynka, króciutko ostrzyżona... Muliśta woda przepływała wolno nad białymi kamieniami, niosąc resztki mchów i owady, pachniała zapachem piaszczystej łachy schodzącej szybko aż na jej głębokie, mroczne dno... Może przeskakiwałam po kamieniach własnej duszy? Chorowitej wyobraźni opuszczonego dzieciaka? Dziecka rzeki? Jeszcze słyszę ten chrzęst kamieni pod moimi stopami. Podobny do tego, który wydają teraz moje stopy na żwirowej ścieżce. Tak obcej. Tak bardzo mi znajomej. Czy już tędy szłam? Kiedy? Czego szukałam wtedy na kamieniach rzeki? Co można znaleźć w rzece? W sennej, przeźroczystej szelestności? Rzeka... Trzeba się mieć na baczności. Jak ją dobrze znam. A może nie znam jej wcale. Przecież rozpościera się teraz przedemną zupełnie inna. Rozlane po obu brzegach żółto-brązowe monstrum. Czuję głęboki, niewytłumaczalny sprzeciw... Wobec czego? Co się ze mną dzieje? Czy ja stąd uciekałam? Dlaczego? I dlaczego wracam? Czuję pod powiekami ostry piasek słońca.

Jaki film tu powstaje? Ze mną w roli głównej? Czyje życie tu odgrywam? Kto napisał ten scenariusz? Kto tak zna moje życie, że ośmielił się je sfilmować? Z moją zgodą czy bez niej? Włączają się światła. Rażą, oślepiają, prawie ślepnę. Odruchowo mrużę oczy. Staram się nie obliżywać warg.

– Cisza na planie! – ryczy reżyser.

– Ujęcie 102! – Klaps! Asystentka, choć wyraźnie zmęczona, nadrabia miną, omijając wściekłość reżysera. Bo słysząc wciąż dudnienie deszczu...

Podchodzę do kogoś, kto ma grać mojego ukochanego, to znaczy ma nim być, a ja mam go żegnać. I rozpaczać, że wojna nas rozdziela. Mam całować obcą mi twarz i udawać, że ją kocham. Nerwowo usiłuję nie zwilżyć znowu językiem moich spierzchniętych ze zdenerwowania warg. Już nie są mokre, deszcz został na zewnątrz wiaty. Reżyser robi zbliżenie. Zaraz będzie cięcie. Jeszcze tylko chwila. Po dachu dekoracji, blaszanego sztucznego lotniska, wciąż szaleje i bębni deszcz. Dudni. Trudno się skupić. Jest coraz zimniej. Marzę o gorącej herbacie. Myślę o tym, że deszcz w końcu przestanie lać i ryczeć. Jak reżyser.

Ale gdzie ja jestem?

Czy starzec w łodzi wie? Czy wie, co się ze mną dzieje? Patrzy na mnie, milcząc. Zna odpowiedź? Zna cel moich kroków? Owszem, idąc tu, każdy zmierza ku niemu. Tutaj droga jest tylko jedna. Ku rzece. Ku jego łodzi. Aby przeprowadzić się na drugi brzeg. Ale co jest tam? Na drugim brzegu? Wyteżam wzrok na próżno. Za daleko. Nic nie widać... Przysłonięte gazą parnej, usypiającej jak morfina, mgły...

Ogarnia mnie niepokój. Przystaję i patrzę. Wiatr kołysze powykręcانymi gałęziami krzewów. Jakby chwycił je boleśnie za ręce. Brzeg powykręcanych rąk... Schronienie moich dzikich myśli. Każdy z nas ma taki brzeg. Zrąb życia. Na którym w pewnym momencie przystaje i się zastanawia.

I ma też swój drugi brzeg, o którym nic nie wie, albo wie niewiele, albo się go tylko domyśla, lub o którym nawet boi się pomyśleć. Od którego wciąż i wciąż ucieka, i uciec nie może. Wiklina mechanicznie kołysze się na wietrze. Dlaczego nic nie słyszać?

Mam na sobie czerwoną, jedwabną sukienkę. Przecież nie lubię czerwonego koloru. Ta sukienka... jest całkowicie irracjonalna. Od słonecznego światła łzawią oczy. Jestem prawie



Elżbieta Wojnarowska – pisarka, poetka, scenarzystka. Doktor nauk przyrodniczych Instytutu Botaniki PAN w Krakowie. Ukończyła Wyższe Zawodowe Studium Scenariuszowe przy PWSFTviT w Łodzi. Laureatka nagrody Fundacji Młodego Kina i „Dialogu” oraz pierwszego miejsca w polskiej edycji międzynarodowego konkursu na scenariusz filmowy o nagrodę Hartley-Merrill. Dwukrotna stypendystka Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Autorka tomików poetyckich, powieści dla dorosłych, książek dla młodzieży i dla dzieci. Jej sztuka teatralna *Urodziny* została zrealizowana dla

Teatru Telewizji w 2005 roku. Laureatka Nagrody Literackiej Kraków Miasto Literatury UNESCO 2020. Dziennikarka miesięcznika „Kraków”, prowadzi cykliczne spotkania literackie i muzyczne. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich – Oddział w Krakowie.

To literatura ambitna, która nie tylko w sposób ciekawy opowiada historię trzech różnych ludzkich egzystencji, ale zakotwicza je w kontekstach społecznych i politycznych ostatnich sześćdziesięciu lat. Narracja trzyma w napięciu, opowieści przeplatają się i przenikają, dzięki czemu uzyskujemy interesującą, miejscami ekscytującą polifonię głosów. Ale nie tylko fabuła stanowi ważną zaletę tej książki. Ciekawy jest styl, miejscami zmetaforyzowany, przepętniony interesującymi refleksjami na temat życia. W tej książce, zbudowanej na zasadzie suspensów, nic nie jest jasne, tak jak nie jest jasne nasze życie, które można opowiadać na różne sposoby, a do jego prawdziwej istoty nigdy nie dotrzemy.

prof. dr hab. Gabriela Matuszek-Stec



<https://akademicka.pl/>